

J. H. Rosny.

Podwójne życie Piotra de Givreuse.

(Z francuskiego tłumaczyła M. J. MIGOWA)

Djana Montmaure nie mogła powstrzymać się, by go nie zapytać:

— Mówił pan coś o tem, że pan jest jedynakiem?

— Istotnie. Nie posiadam brata.

— Ani kuzynów, którzyby się tak samo jak pan urodzili w Avranches?

— Mam tylko kuzynki... niedorośle dziewczynki... Najstarsza ma lat trzynaście... Dlaczego mnie pani o to pyta?

Zmieszała się. Skronie jej powlokły się różową luną rumieńca, ale ranny nie zauważył tego.

— Lekarz w połowym szpitalu pytał mnie o to samo, zanim zasnąłem. To dziwne... Cóż go to mogło obchodzić?

— A gdyby znaleziono na polu walki kogoś, kto jest ogromnie do pana podobny?

— Kogoś takiego, którego identyczności nie można stwierdzić?

— Być może.

W tejże chwili doktor Formentat ukazał się w progu sali.

W sali sąsiedniej pani Ludwika de Bréhannes zatrzymała się koło łóżka drugiego Givreuse'a. Ranny obudził się. Posługaczka szpitalna podawała mu napój.

Pacjent wypił, a potem popatrzył na obie kobiety z jakimś niepokojem w spojrzeniu i zapytał:

— Czy ja spałem?... Zdaje mi się, że mnie przeniesiono na inne łóżko?

— Byłeś pan w Viornes! — odpowiedziała Luiza de Bréhannes, swoim pięknym, piersiowym głosem — Przetransportowano pana w czasie pańskiego snu.

— Czy długo spałem?

— Dwa dni i dwie noce.

— Pani powiada dwa dni?

— Dwa dni.

— To okropne... I dlaczegoż to? Czy rany moje są tak ciężkie?

— O nie!... Za jakieś piętnaście dni będziesz pan mógł wstać z łóżka

— Chciałbym zawiadomić moją matkę.

— Napiszemy do niej

Tak, jak tamten ranny, miał spojrzenie męne, rwarz zeszytniałą i widmową.

— Czuję się jeszcze bardzo zmęczony! — rzekł — A jednakowoż ten długi sen powinien...

— Utracił pan dużo krwi.

— A czy niema innej przyczyny?

— Nie, ponieważ rany pańskie nie należą do niebezpiecznych.

— Czy to tylko rany są powodem tego znużenia? Tak mi jest, jakby się ze mną stało coś dziwnego, niezwykłego...

— Ach! — wyrwało się jej z ust.

Ta sama ciekawość, która kierowała Djana Montmaure, popchnęła ją do zapytania:

— Co takiego naprzykład?

— Moje wspomnienia przysłonięte są jakby mgłą... Można by pomyśleć, że to, co się stało ze mną, to było już dawno... bardzo dawno...

Pani de Bréhannes nie odwracała od niego swych oczu zielonych, przenikliwych.

— Jeszcze mi się chce pić! — rzekł.

Wypił kilka łyków, poczem dłuższą chwilę leżał cicho, bez ruchu. Wreszcie zagadnął:

— Czy daleko jesteście od terenu walk?

— Prawie trzysta kilometrów.

— Niemcy cofają się ciągle?

— Tak.

— Co za cud!

— To Bóg tak sprawił! — wyrzekła uroczyście.

Nie odpowiedział. Rzęsy jego drżały lekko, jakaś wielka niepewność malowała się w wyrazie twarzy.

Ludwika de Bréhannes nie mogła już dłużej zapanować nad pożerającą ją ciekawością:

— Zdaje mi się, że pan ma brata?

— Już mnie o to pytano. Nie, nie mam brata.

— Ani żadnego krewnego, który jest do pana podobny?

— Żadnego... Wogóle niewiele mam męskich krewniaków.

W sąsiedniej sali doktor Formentat badał Piotra Givreuse. Lekarz skonstatował, że pacjent nie ma gorączki. Puls był słaby, temperatura normalna.

— Zdrowa, czysta krew... — szepnął.

Ale osłabienie chorego było rzeczą aż nadto widoczną.

— Chce się panu jeść?

— Trochę.

Formentat był podniecony. Wśród tego rozpętania strasliwych, zabójczych potęg, ta przystępna nabrała charakteru jakiegoś groźnego ostrzeżenia.

Była to jakby pogardliwa odpowiedź Ducha Stwórcy wszechrzeczy na tytaniczne wysiłki ludzkie.

Lekarz zamienił wymowne spojrzenie z Djana Montmaure, a domyślając się, że ona już zadawała żołnierzowi pytania, zagadnął jeszcze tylko:

— Czy pan odczuwa jakie bóle?

— Nie, bólów nie mam żadnych... tylko męczy mnie poczucie niezwykłego znużenia.

Lekarza zarówno, jak przedtem młodą pielęgniarkę, zastanowił ten głos, idący jakby skądś zdaleka.

— To bardzo naturalne! — wyjaśnił — Nie jadł pan przecież od sześćdziesięciu godzin i utracił pan dużo krwi. To osłabienie mnie wkrótce.

Dyskretnie skinął na Djana. Pielęgniarka poszła za lekarzem. W korytarzu spotkali Luizę de Bréhannes i młodszego lekarza.

— Czy tamten także obudził się?

Pani de Bréhannes skinęła głową potwierdzająco.

— To jest zdumiewające!

Weszli wszyscy czworo do małego gabinetu, który stanowił schronienie naczelnego lekarza.

— Nie potrzebuję prawie pytać — rzekł Formentat z uśmiechem rezygnacji — Oni potwierdzili wszystko, co mówili tam...

Ludwika de Bréhannes i Djana Montmaure spojrzwały po sobie.

— Wszystki! — przyznała Ludwika.

— Czy to jest przerażające, czy tkwi w tem jakaś pociecha? — szepnął dr. Formentat.

— Nie wiem. Jestem gotowa wierzyć we wszelkie rodzaje mistycyzmu...

— Wystarczy religia! — powiedziała sucho Ludwika.

— Nie sądzę -- westchnęła Djana — przynajmniej żadna religia ściśle określona.

— Dajmy temu spokój! — wykrzyknął Formentat, z odcieniem gniewu w głosie — Zatem oni nie są bliźniakami!...

Ich kłószczki wystawione są dla jednej i tej samej osoby. Rany ich są identyczne. Żołnierze z ich pułku znają tylko jednego Piotra Givreuse!...

— A ciężar ich ciała połączony stanowi normalną wagę jednego człowieka! — dorzuciła Djana z naciskiem.

— Któż wie jednak, czy naprawdę nie są bliźniakami! — wtracił młodszy lekarz — Jedna z legitymacji może być duplikatem i jeden tylko z nich służył w pułku. Pomysłowy powieściopisarz napewno znalazłby jakieś romantyczne rozwikłanie tej niezwyklej historii. Naprzykład możebnem jest, że oni się znają i nie chcą przyznać się do tego, albo też zapomnieli wskutek wstrząśnienia nerwowego. Być może, że nie znają się wcale i że mamy tutaj do czynienia z interwencją jakiegoś tajemniczego przyjaciela czy siły. Nie wykluczonem jest, że jeden z nich tylko wie o istnieniu drugiego. Albo dlaczegożby koniecznie mieli być bliźniętami. Można przypuścić inne komplikacje. Przy bujnej wyobraźni wszystko to da się wytłumaczyć...

— Ale nie identyczność ran.

— Tutaj możemy się uciec do rachunku prawdopodobieństwa. Dlaczego nie mogłoby się raz jeden zdarzyć, że dwaj bliźniacy otrzymali te same rany na tem samym polu walki. Jest to oczywiście nieskończenie nieprawdopodobnem, ale nie jest niemożliwem!

— A nienormalny ciężar ciała?

— Istnieją ludzie, którzy ważą mało stosunkowo do swego wzrostu. Ci ważiliby poprosu niezmiernie mało i oto wszystko.

— I to tak obaj?

— Obaj. Ich podobieństwo wymaga nawet tego.

— Ależ to jest najgłupszy w świecie paradoks! — rzuciła twardo pani de Bréhannes.

— Przyznaję, proszę pani. Prawda bezwątpienia przedstawia się zupełnie inaczej. Ale paradoks wskazuje myśli kierunek.

Doktor Formentat prawie że nie słuchał. Każde słowo wydawało mu się pustym, złudnym dźwiękiem.

Widział ciągle przed sobą i rozważał fakt istniejący, stwierdzony naczyniowo, dożytkownie, a ten fakt pociągał myśl ku jakimś rzeczywistościom nieznanym.

W końcu odezwał się:

— Gdyby można ich tak poznać ze sobą?

— Oto nie trudno! — rzekła Ludwika.

— Doprawdy?... A wrażenie, jakie to spotkanie wyrzuci na chorych?

— Sądzę, że zdołają je przetrzymać doskonale.

— Jestem tego samego zdania! — wtrąciła nieśmiało Djana.

— Jesteście moje panie obie bardzo lekko-myślnie! — ofuknął doktor.

Spojrzał przez okno na łagodny, skromny krajobraz wiejski, przetrzymany srebrną wstęgą rzeki. W oddali kołysały się bardzo wysokie topole. Trawy i kwiaty wyczerpane upałem kłoniły głowy ku ziemi.

Na łące pasły się trzy wełniste owce. Stary wychudzony osiel szczypał trawę i podnosił głowę podobną do fufzanego zarękawka, zżartego przez mole.

— Proszę was bardzo, moi państwo — rzekł wreszcie Formentat — abyście nie niepokoili chorych żadnymi więcej pytaniami. Ich stan nerwowy jest wprawdzie dobry, ale wydają mi się bardzo słabi.

ROZDZIAŁ IV.

Stan zdrowia obu Givreuse'ów polepszał się z dnia na dzień. Nie mieli gorączki. Rany goły się znakomicie, a pacjenci objawiali niezwykle wprost apetyt.

Doktor Formentat pozwalał im jeść tyle, ile żądali.

A jednak nie nabierali ciała. Policzki mieli zapadłe, rece prawie przezroczyste, a wydelikacenie ich powiek budziło zdumienie. Rzekłbyś, że to płatki polnej róży.

— Oni nie tyją zupełnie — zauważył pewnego dnia młodszy lekarz. — Możeby ich zważyć.

Formentat zgodził się. Sanitariusz Karol przyniósł swoją wagę amerykańską przed łóżko pierwszego Givreuse'a.

— Czterdzieści kilo i sto dziesięć gramów — oznajmił. — To zadziwające. A tak na oko zdawałoby się, że jeszcze bardziej schudł.

Formentat i Djana Montmaure zamienili ze sobą spojrzenia. Im także zdawało się podobnie jak Karolowi.

— A zatem — mruknął doktor — gęstość ciała zwiększyła się.

— Jestem o tem najmocniej przekonana — odpowiedziała Djana.

Ale ranny, po chwili milczenia, odezwał się wzruszonym głosem:

— Czterdzieści kilo! Przecież państwo nie zechcecie powiedzieć, że ja tylko tyle ważę.

— Tak jednakowoż jest. Czterdzieści kilo i sto dziesięć, czy jedenaście gramów. Waga jest dokładna. Omyłka wykluczona.

— Cóż znowu! — rzucił chory z odcieniem podrażnienia — to przecież niemożliwe! Przed odjazdem na front ważyłem sześćdziesiąt sześć kilo.

Zapanowała cisza. Doktor Formentat opuścił głowę na piersi. Wreszcie po długiej chwili szepnął:

— To jeszcze bardziej nienojete!

Identyczna prawie scena rozegrała się przy łóżku tamtego. I jego waga wynosiła czterdzieści kilo i on twierdził także, że w dniu mobilizacji ważył sześćdziesiąt sześć kilo.

Doktor Formentat postanowił tedy zaryzykować konfrontację.

Opaj ranni byli do pewnego stopnia na to spotkanie przygotowani. Jeden i drugi wiedział z napomknięcia pani de Bréhannes i Djany Montmaure, że posiada coś w rodzaju sobowótora.

Osobliwe to spotkanie miało miejsce koło godziny czwartej po południu, którą to godzinę doktor Formentat uważał za najodpowiedniejszą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)